



*Odwrocone*

*Hayley Chewins*



*Odwrócone*





# Odwrocone

Hayley Chewins

Przełożyła Patrycja Zarawska

IUVI

Tytuł oryginału  
*The Turnaway Girls*

Copyright © 2018 by Hayley Chewins  
Jacket illustration copyright © 2018 by Sarah J. Coleman

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Zarawska, 2019  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2019

Opracowanie redakcyjne i DTP  
*Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)*

Redaktor prowadząca  
*Katarzyna Kolowca-Chmura*

Redakcja  
*Magdalena Tytuła*

Korekta  
*Katarzyna Kierejsza*

Typografia i skład  
*Anna Cupiłat*

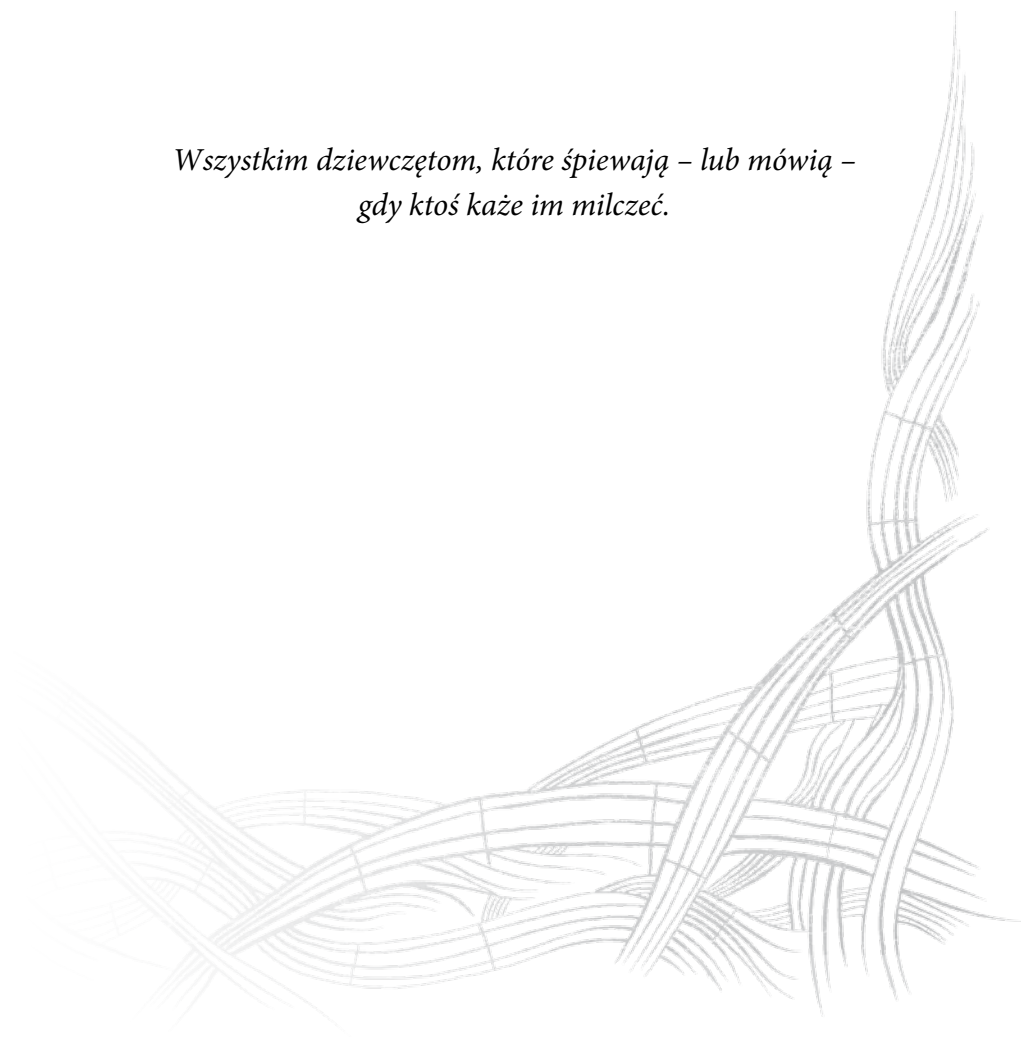
Wydanie I, Kraków 2019  
ISBN 978-83-7966-049-0



[www.iuvi.pl](http://www.iuvi.pl)  
[www.facebook.com/WydawnictwoIUVI](https://www.facebook.com/WydawnictwoIUVI)  
[biuro@iuvi.pl](mailto:biuro@iuvi.pl)



*Wszystkim dziewczętom, które śpiewają – lub mówią –  
gdy ktoś każe im milczeć.*









*Klasztor*





# Rozdział 1

Matka Dziewięć mówiła, że to ściana napęlnia salę migotem muzyką i złotem. Ja jednak wiedziałam, że robi to ktoś ukryty po drugiej stronie.

Wiedziałam, że to chłopiec.

Chłopiec, którego – gdy przyszedł na świat – zamiast w koce owinięto w zwoje muzyki. Chłopiec otoczony dzwoneczkami, spowity śpiewem złożonym z łoskotu i bryzgów morskich fal, podnoszący do ust kamiennoflet. Oddechem powołujący do życia pieśni.

Matka Dziewięć mówiła, że nie odróżniłabym skrzydełka iskroćmy od spadającego piórka, lecz ja wiedziałam jedno: aby była muzyka, potrzebne jest gardło. Płuca, krew z serca i wydech z głębi piersi.

„Ani słowa, Delphernio. Sza”.

Przykucnęłam, przykładając ucho do wilgotnego kamienia. Nie było tam nic oprócz tego rodzaju ciszy, jaką potrafią tchnąć tylko ściany. Milczenie z gatunku śmiertelnych – bezdźwięk, jaki spodziewalibyśmy się usłyszeć raczej pod ziemią, nie na jej powierzchni. Nawet morze przycichło, jak gdyby czekało, aż ktoś odprawi zadaną samemu sobie pokutę.

Wiedziałam, że to nie ściana rozsnuwa w powietrzu dźwięki niczym zawodzący ptak – wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam. Ponieważ kiedy się wreszcie przedarłam przez kamienne milczenie zimnej jak gład ściany, dotarły do mnie odgłosy kroków i cichy trzask kostek u rąk. A potem kłapaniecie języka i odchrząknięcie. Wiedziałam, że on tam jest – wiedziałam. Morze wzburzyło się, zaryczało i bryznęło słonymi kroplami poprzez otchłań rozświetloną blaskiem gwiazd.

Wzdrygnęłam się i odskoczyłam.

Przez całe życie wmawiano mi, że morze otacza kopułę klasztoru jak nocne niebo trzymające w objęciach księżyc.

I że pochłania takie dziewczęta jak ja.

„Ani słowa”.

Drzwi do sali migotu otworzyły się z odgłosem przypominającym kaszlnięcie i do środka weszły pozostałe dziewczęta. Bose stopy dreptały po omszonej posadzce. Dziewczyny ustawiły się w szyku, a ja przesunęłam się między nimi, przed ich nieruchomo patrzącymi oczyma, by zająć miejsce na samym końcu.

Czułam piętami dudniący tupot Matki Dziewięć. Dziewczęta spuściły głowy. Przełknęłam swoje sekrety, ale kłębiły mi się w brzuchu jak skwaśniała zupa, podchodziły do gardła, jakby się chciały wydostać.

I oto weszła ona – odziana w jedwabie o zgaszonych barwach, z piórami klasztoroskrzydłaków naszytymi na rękawku czci Pierwszej Matki. Popisała się świętobliwymi słowami i uderzyła o ścianę uciszokamieniem, a ten zaszemrał: „Ciii” i rozjarzył się ogniem.

Potem wezwała muzykę – którą wygrywał chłopak, ten chłopak na zewnątrz, bo tam był, wiedziałam o tym – a wystarczyło jej do tego jedno chłodno wymówione słowo:

– Dech.

Poza klasztorem miasto Blajbakan uderzyło w dzwony. Za ścianą chłopak zaczął grać.

Pozostałe dziewczęta podniosły głowy. Wtem Matka Dziewięć wywołała moje imię i wiedziałam, że nadszedł mój czas. Czas, by podjąć nieudaną próbę ugniatania muzyki w złoto.

Matka Dziewięć nazywała to tworzeniem migotu, ponieważ właśnie po to miała ten swój szczywany, lepki język: lubiła obracać słowa tak długo, aż zupełnie zmieniały pierwotne znaczenie.

Podeszłam do ściany tak blisko, że jej dotknęłam ustami. Matka Dziewięć trzymała w górze lustro z polerowanego złota, a w jego tafli pojawiła się moja twarz: ciemne oczy,

brązowa skóra. Włosy upięte z tyłu w spiralny kok, z którego wymykały się kręcone czarne kosmyki. Udawałam przed sobą, że sińce, które mam pod oczami, to tylko cienie rzuca-  
ne przez klasztoskrzydłaka – wyobrażałam sobie, że otacza  
mi on głowę niczym ciemny diadem. Wymamrotałam mod-  
litwę, którą powtarzałyśmy, odkąd nauczyłyśmy się mówić:

– Niech zapomnę, że mam oczy. Niech zapomnę, że  
jestem sobą.

– Dalej – ponagliła mnie Matka Dziewięć, zniżając zwier-  
ciadło.

Wiedziałam, co mam teraz zrobić – choć wiele razy  
widziałam, jak sobie z tym radzą moje rówieśniczki, mnie  
nigdy dotąd się to nie udało. Może to z powodu śpiewają-  
cego gardła, którym obdarzył mnie los – „Nie mów o tym,  
Delphernio, ani słowa” – a może ponieważ coś było nie tak  
z moimi kośćmi, dość, że nie umiałam wytworzyć migotu.

Kiedy któraś z dziewcząt wytwarzała migot, stała z otwar-  
tymi dłońmi zwrócona twarzą do ściany, a muzyka przepły-  
wała przez jej kości. Dźwięki lśniły na plecach dziewczyny  
niczym wygładzone na błysk nici, a wtedy ona odwracała się  
do tych pasm światła i pozwalała im ciężko osiąść w swoich  
dłoniach. Ugniatała porcję migotu, aż ta zamieniła się w nie-  
kształtną bryłę złota. Następnie Matka Dziewięć klaskała  
w dłoń – bardziej w ramach ostrzeżenia niż z uznaniem –  
i odmawiałyśmy kolejną modlitwę do Pierwszej Matki:

– Dziękujemy ci za ten dar, że znamy swoje miejsce.

Teraz jednak zanosiło się na to, że nie będzie żadnego kłaśnięcia. Nie dla mnie. Ponieważ moje ręce zawsze były puste. A puste ręce, jak lubiła mawiać Matka Dziewięć, należy napełnić.

Napełnić poszumem smagnieńć.

Napełnić krwią.

Z pustych rąk biorą się puste brzuchy – to jej kolejne ulubione powiedzenie. W dodatku prawdziwe. Ponieważ jeśli nie wytwarzałyśmy złota, Kurator Blajbakanu nie porywał nam przez sufitowy świetlik kwiatów morza ani nadszanych na haczyki węgorzy.

A więc głodowałyśmy.

W klasztorze nie rosło nic oprócz płucnicy i na wpół martwych drzew językoowocowych, które nie wydawały nawet pąków. Nie da się zjeść ciemności, nie da się gryźć kamienia. Żadna z nas nie mogła opuścić klasztoru, o ile nie urodziła się we właściwym roku. O ile nie wyprowadził jej otoczony dzwoneczkami chłopak, aby następnie wytwarzała złoto do jego kieszeni.

Pokazałam ścianie blizny, jakie miałam na dłoniach.

Sę w tym, że zawsze za bardzo wsłuchiwałam się w muzykę i z tego powodu nie przepuszczałam jej przez swoje ciało. Gdy byłam jeszcze mała jak jajeczko, myślałam, że stanę się taka jak reszta dziewczyn, jeśli się tylko postaram. Lecz mimo że się starałam, z kręgosłupa wyrosły mi palce, kolana zamieniły się w mocno zaciśnięte pięści, a kostki



u nóg – w sękaty grudy. Każda komórka mojego ciała chwytła dźwięki posyłane przez kamiennoflety, zachwycona radośnym, drżącym głosem pieśni.

Teraz też moje kości chłonęły napływającą melodię. Przywieriała do nich, szpik kostny gęstniał mi od niej jak gulasz Matki Dziewięć. Żałowałam, że ściana nie jest zasłoną z mgielki – wtedy mogłabym przez nią wyrzeć i zobaczyć go. Zobaczyć chłopaka z kamiennofletem przyłożonym do ust, bo wiedziałam, że on tam jest, wiedziałam. Nie umiałam jednak zamienić kamienia w mgielkę. Słuchałam więc. Gromadziłam w sobie muzykę. Zatrzaszkiwałam ją w swoim wnętrzu, zamykałam się jak stara komoda. Muzyk zawahał się, niepewny, czy powinien grać dalej. Wyczuwał, że nie wytwarzam migotu. Że coś jest nie tak. Że coś jest nie tak ze mną.

Miałam ochotę wykrzywić twarz w grymasie drwiny, zapytać Matkę Dziewięć, czy kamień może się wahać, lecz zanim zdążyłam to zrobić, odpięła sobie od fałdów spódnicy rozgałęzioną różgę i dzieliła mnie nią po wierzchu dłoni. Pojawił się czerwony pasek, obrzmiała skóra uniosła się na kostkach palców.

Muzyka się urwała i prawda osiadła w moim brzuchu jak ptak składający skrzydła, kiedy ląduje w gnieździe. Nigdy nie ujrzę nieba w całym jego ogromie. Niebo nigdy nie zechce, aby spoczęły na mnie jego oczy.

– Do sali szeptu, ale już! – rozkazała Matka Dziewięć.

Wiedziałam, że nie będzie mi dane wysłuchać reszty pieśni. Pieśni, które pozostałe dziewczęta zamienią w złoto.

Pieśni, których nie wolno było naśladować dziewczynom z Blajbakanu.

Zamknęły się za mną drzwi sali migotu. Korytarz z czarnego kamienia nie był oświetlony, ale i tak dobrze znałam drogę do sali szeptu.

Przycisnęłam do siebie odrobinę muzyki, którą dosłyszałam w łuku własnych żeber. Chciałam ją zatrzymać na później – na tę chwilę, którą będę mieć dla siebie w dziuplastym drzewie. Podreptałam po kamiennej posadzce, uważając, by nie wybijać stopami rytmu.

Mogłam przechowywać pieśni zamknięte w swych kościach, nie oznaczało to jednak, że te melodie należą do mnie.

Byłam jedną z odwróconych i wiedziałam, że muzyka należy do Mistrzów.



## Rozdział 2

W drodze do sali szeptu nie spojrzałam na dziuplaste drzewo. Czułam wilgotną woń jego rozrośniętych konarów, lecz nie rzuciłam nawet okiem. Gdybym dostrzegła chociaż listek, pobiegłabym do drzewa i wdrapałabym się do środka. Napęłniałabym je śpiewem.

Ale śpiewałam dopiero wtedy, gdy dziewczęta i przełożona pokładły się już do łóżek, kiedy mogłam być sama ze skrzydlakami. Z klasztoskrzydłakami. Moimi klasztoskrzydłakami.

Wtedy było bezpiecznie. Matka Dziewięć pochrapywała we śnie, na policzkach miała odgniecenia od poduszki i wiedziałam, że się nie obudzi. Co wieczór zażywała śmierdzące krople nasenne i nie ocknęłaby się, nawet gdyby

z nieba waliło kamieniami. Albo gdyby ktoś dmuchał na jej zamknięte powieki.

„Ani słowa”.

Szłam Zębatą Grzędą – brukowaną kamieniami ścieżką, która oddzielała rosnące po jednej stronie drzewa od ciągnących się z drugiej strony pokoi. Minęłam jadalnię, sypialnię i umywalnię. Sala migotu została daleko za mną. Nie mogłam teraz jednak myśleć o jedzeniu ani spaniu. Nie mogłam nawet zamarzyć o ciepłej kąpeli. Ogniste pulsowanie w dłoni złągodniało, porzuciłam wszelkie myśli o różgach czy pręgach na skórze, ale pojawiła się myśl o innym bólu.

Takim, który nie zostawia pręg ani siniaków.

Drzwi sali szeptów były ciężkie, podobnie jak odrzwia zamykające muzykę w sali migotu. Wnętrze tchnęło tym samym chłodem. Jednak podczas gdy salę migotu otaczały ściany z posępnego kamienia, w sali szeptu ze ścian spoglądały twarze. Armia płaskorzeźbionych zastygłych masek o oczach oświetlonych latarniami z rozjarzonych uciszokamieni.

Sala szeptu urzekła pięknem, ale jednocześnie napawała strachem. Ponieważ ze ścian patrzyły nie jakieś tam twarze, lecz twarze Matek.

A ich oczy doskonale wiedziały, jaka jestem okropna.

Oto i Pierwsza Matka, z klasztoskrzydłakiem siedzącym na otwartej dłoni. Przesłano mnie tu, żebym się przed nią ukorzyła. Przed nią i przed klasztoskrzydłakiem.

Nie miałam nic przeciwko zanoszeniu modłów do ptaka. Śpiewałam przecież dla nich co noc, w brzmieniu głosu zawierając wszystkie swoje sekrety. Lecz nawet Pierwsza Matka – martwa jak gład – wiedziała, że prędzej oddałabym jej swoje prawe ucho, niż wydobyla z mętów serca pochwalny pean na jej cześć.

Mimo to zgięłam kark i dotknęłam palcami ust, kiedy ujrzałam jej oprószone złotem czoło. Była pierwszą odwróconą dziewczyną w Blajbakanie. Najlepszą. Najcichszą. Mówią, że unosiła się nad ziemią, zamiast chodzić, a jej bezdźwięczny sposób poruszania się był hołdem dla bezgłosu, jaki narzuca się w naszym mieście dziewczętom.

Chód Matki Dziewięć daleki był od bezgłośnego, ale gdybym ją o to zapytała, powiedziałyby, że zasady są dla mnie, nie dla Matek. Odrzekłyby, że to ona jest zasadą, a ja mam się do niej stosować.

I miałyby rację.

Przyklękałam. Liczyłam swoje oddechy.

– Zapomniałam – wyznałam szeptem. – Zapomniałam pozwolić muzyce przepływać... Ja...

Nie umiałam się do tego przyznać.

Chciałam tylko – i to było moje jedyne pragnienie – zatrzymać dla siebie coś pięknego. Nie powinnam za to pokutować. Przecież i tak mieszkałam w klasztorze, pod kopułą z uciszokamienia, która odcinała nas od wszystkiego, nie wyłączając nieba i morza.

Rzeźbione oczy Matek otwierały mnie, zaglądały mi do środka, jakbym była językoowocem. Zasady wymagały, żebym przez szacunek patrzyła w ziemię, lecz nie umiałam się powstrzymać – podniosłam wzrok, spojrzałam w oczy Pierwszej Matce.

Chciałam jej pokazać, że nie może mnie zranić. Że nawet jeśli była najlepszą z odwróconych dziewcząt w Blajbkanie, już jej nie ma. Umarła, odeszła w przeszłość, tak jak jej siedem następczyń. A to oznaczało, że przynajmniej pod jednym względem jestem od niej lepsza: żyję.

Patrzyła na mnie z uśmiechem, jakby mnie poddawała próbie.

Wtedy złamałam kolejną zasadę. Wstałam i podeszłam do jej wizerunku – tak blisko, że mogłabym go polizać.

Prawie się spodziewałam, że sufit runie z łoskotem. Myślałam, że Pierwsza Matka wymierzy mi policzek, dodając kolejny artystyczny siniak do poprzednich dzieł Matki Dziewięć. Lecz ściany pozostały nieporuszone. Wokół panowała cisza.

Powiodłam palcami po figurze klasztoskrzydłaka.

Na historii nauczyliśmy się, że Pierwsza Matka wyrzeźbiła klasztoskrzydłaki z uciszokamienia z Blajbakanu, posługując się rzeźbiarskim nożykiem – ostrożnie, jak zawsze należy się obchodzić z tym materiałem. Wiedziałam, że moje klasztoskrzydłaki – te, dla których śpiewałam noc w noc – przychodzą na świat, wylęgając się z nakrapianych jaj, lubiłam jednak

tę opowieść i wyobrażałam sobie, że jest prawdziwa. Podo-  
bała mi się myśl o tym, że z tego zimnego kamienia można  
zrobić coś, co lata, coś tak cudnego i dumnego jak ptak z roz-  
postartymi skrzydłami.

Na kamiennym bruku zabrzmiały czyjeś pośpieszne  
kroki, coraz głośniejsze i głośniejsze. Koniuszki palców  
ześliznęły mi się ze szpiczastego dzioba klasztoroskrzydłaka.  
Czym prędzej pobiegłam na środek sali. Ukłękłam z powro-  
tem. Zwiesiłam głowę, czując, jak mi w niej dudni. Drzwi  
się otwarły.

Matka Dziewięć, sapiąc z urywanym oddechem, zaczęła  
mnie okrążyć.

– Czy wiesz, Delphernio, dlaczego nigdy nie patrzę ci  
w oczy?

Kłęczałam ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie patrzy pani na coś niewidzialnego – odpowie-  
działam. – Nie patrzy pani na coś, czego się nie da zobaczyć.

– A jak to się ma do ciebie? – Trzepnęła się po dłoni  
giętką różgą.

Własną skórę odczuwałam jak worek, w którym szamo-  
czę się i wiercę.

– Odwróconych dziewcząt się nie widzi, to one widzą.  
Odwróconych dziewcząt się nie słyszy, to one słyszą.

– Dobrze – odrzekła. – Już zaczynałam myśleć, że za-  
pomniałaś wszystkiego, czego cię nauczyłam. – Wyciągnęła  
do mnie bladą, nieskalaną bliznami dłoni. Swego czasu była



grzeczną odwróconą dziewczyną. Z jej kośćmi wszystko jest w porządku. Nie trzeba ich naprawiać za pomocą szeptów, smagnięć różgą ani pokuty.

Chwycałam jej rękę i podniosłam się z ziemi.

Zakręciła się wokół mnie z trzepotem jedwabiu. Pióra na jej rękawach zdrzały. Miałam ochotę zedrzyć je z niej. Nie zasługiwała na nie. Nienawidziła klasztorokrzydlaków. Nienawidziła wszystkiego, co śpiewa.

– Już ci o tym mówiłam, Delphernio. Sama zdecydowałaś, kim jesteś, zamiast pozwolić, bym ja ci to powiedziała. To dlatego nie umiesz wytworzyć migotu – tłumaczyła, zaciskając rękę na moim ramieniu. Jej rozbiegane spojrzenie spoczęło na mnie na sekundę... na jedną jedyłą sekundę.

– Tak, Matko Dziewięć – odparłam.

– A o czym powinnaś zawsze pamiętać?

Zwlekałam z odpowiedzią jak najdłużej. Ponieważ mimo że słowa odpowiedzi były prawdziwe i doskonale o tym wiedziałam, moje ciało nie chciało ich z siebie wydobyć. Aż zabolą mnie od tego szczęka.

– Dziewczęta o śpiewającym gardle w końcu pochłania morze.

– Pochłania morze – powtórzyła Matka Dziewięć.

– Pochłania morze – szepnęłam.

Matka Dziewięć zawsze mnie karała, lecz w tym tygodniu było gorzej niż zwykle. Przypuszczałam, że to z powodu

zbliżającego się Święta Dzwonków. Wkrótce przybędzie tutaj Kurator – sprawdzi nas, poobserwuje. Sprawdzi ją. A ja byłam płamą, którą chciała zetrzeć. Byłam jedyną odwróconą w historii Blajbakanu niezdolną do wytwarzania złota z melodii.

– Wiesz, że chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze – oznajmiła.

Kiwnęłam głową, choć się z nią nie zgadzałam, nie, nie, nie. Nie można chcieć dla kogoś tego, co najlepsze, a jednocześnie smagać go do krwi.

– To prawda – stwierdziła z przekonaniem. – Co do dziewcząt o śpiewającym gardle. Morze karmiło się nimi wiele, wiele razy.

Szybkim ruchem podbródka wskazała drzwi, więc ruszyłam w ich stronę. Podążyła tuż za mną. Wtem nachyliła się, dotykając ustami mojego ucha.

– Pamiętaj o tym, a uchronisz swoje płuca od smaku soli.



**Wymamrotałam modlitwę, którą  
powtarzałyśmy, odkąd nauczyłyśmy się mówić:  
– Niech zapomnę, że mam oczy. Niech zapomnę,  
że jestem sobą. (...)**

**Byłam jedną z odwróconych i wiedziałam,  
że muzyka należy do Mistrzów.**

Dwunastoletnia Delphernia całe życie spędziła w klasztorze, którego kamienna kopuła, zgodnie z prawem miasta Blajbakan, odgradza odwrócone dziewczęta od morza, nieba, świata... Na zewnątrz Mistrzowie – wyłącznie chłopcy i mężczyźni – grają muzykę. W środku odwrócone w milczeniu, bez słowa, przemieniają tę muzykę w złoto. Matka Dziewięć nazywa to wytwarzaniem migotu.

Delphernia jednak nie umie wytwarzać migotu. I woli śpiewać, zamiast milczeć.

Gdy do klasztoru przybywa Mistrz, który nie zachowuje się jak Mistrz, dziewczyna ma szansę wyrwać się ze swojego więzienia. Na zewnątrz, poza murami klasztoru, morze dyszy jak dzikie zwierzę, niebo spogląda z góry tysiącami gwiazd przypominających oczy, a tajemniczy ogród ma liście ostre jak szpony. Delphernia poznaje księcia mówiącego cytatami z poezji oraz dziewczynę zdumiewająco odważną i niezależną. Uwikłana w rozgrywkę złowieszczego milczącego Kuratora i nieprzeniknionej królowej Delphernia pojmuje, że choć uwolniła się z klasztoru, w Blajbakanie nigdy nie będzie wolna.

**Blajbakan zaś nie stanie się wolny bez niej.**

Patroni medialni

WWW.IUVI.PL



**Cena 29,90 zł** (w tym VAT 9%)  
ISBN 978-83-7966-049-0

